

## x. Twardowski. Liryczna teologia [TPCT 478]

Miał umiejętność łączenia w sobie absolutnej prostoty z prawdziwą głębią. Jego „liryczna teologia” to nie tylko zbiór wierszy, ale przebijająca z nich perspektywa – sposób patrzenia na świat, bowiem jego fraza różniła się od metodologii teologów, z których czasami „dobrotliwie pokpiwa”. Co więcej, jego poezja nie była wykuwana w szkole retorycznej perswazyjności, a raczej sięgała źródeł odnowy Kościoła XIII stulecia: silnej wiary radosnej i bliskiej człowiekowi.

Jan Twardowski – ów poeta w sutannie – łączył prosty, potoczny język i żartobliwy ton z głęboką religijną postawą. Ta postawa, charakteryzująca się pochwałą wszelkiego istnienia stworzonego przez Boga, poezja codzienności, stawała się znakiem, że Pan Bóg nie zapomniał o drobiazgach.

Nie było w nim wiele z dogmatyka, raczej dużo z franciszkanina. Bez wątpienia, dzięki wykształceniu polonistycznemu znał wszystkie chwytów literackie, lecz nie szafował nimi łatwo. Wolał, jak sam mówił, żeby poezja „nie zasłaniała sobą”. Nie pisał jak ktoś, kto zna odpowiedzi, ale jak ktoś, kto zadaje pytania, czasem przewrotne, zawsze czułe. A kwestie te prowadziły do Boga – nie abstrakcyjnego Absolutu z traktatów ontologicznych, lecz do osobowego Boga, który zna imiona biedronek, rozumie nieśmiałość dzieci i nie gani psa, który „rzadko chodzi do kościoła”. Taki to właśnie „dobrotliwy”, „wciąż niepojęty” i „nie mieszczący się w naszej głowie, która jest za logiczna” Stwórca staje w centrum jego twórczości. Nie dlatego, że dał się zrozumieć, ale dlatego, że się przybliżył. Kenoza – ów cud ogołocenia – nie

była dla Twardowskiego jedynie pojęciem z pism św. Pawła, lecz fundamentem jego wiary. Miłość Boża, by być prawdziwą, musiała zejść na dno nieszczęścia i tam dopiero być sobą. Być może dlatego o ranach Chrystusa pisał częściej niż o cudach.

Można powiedzieć, że po swojemu cerował teologię „kłębkami włóczki” – z pietyzmem i humorem, który bardziej przypominał rozmowę z babcią niż dysputę na Sorbonie. Jego język był jak podwórkowy katechizm – bez pretensji, a przecież pełen głębi. W świecie, gdzie poezja religijna często była obciążona tonem pomnikowym, on pisał tak, jakby mówił przez dziurkę od klucza do Boga, który akurat schylił się, by pogłaskać jeża. Lecz nie rzecz w naiwności, bo właśnie i tego udało się Janowi Twardowskiemu uniknąć. Był raczej poetą kognitywnej wiary – takiej, która uznaje różne perspektywy, nie odrzuca wątpliwości, a raczej traktuje je jako część procesu poznania. Jak powiedział: „wiara czasem nie wierzyć / rozpacz by więcej wiedzieć”. Przecież to nie manifest agnostyka, lecz zaufanie dziecka, które zgubiło się na chwilę w tłumie, ale wie, że rodzic zaraz je znajdzie.

Dziecko, swoją drogą, było dla Twardowskiego figurą teologiczną. „W każdym z nas siedzi dziecko” – powtarzał – i to ono ma klucz do Królestwa. Co ważne, choć pisał dużo dla dzieci, nigdy nie traktował ich jak mniej rozumiejących. Raczej jak tych, którzy widzą więcej – przez prostotę, której dorośli już nie pamiętają i nie dostrzegają. Bez wątpienia jego twórczość, szczególnie do najmłodszych, charakteryzuje się prostotą języka, ale i paradoksem, humorem i zabawą (paidia), jak i unikaniem natrętnego dydaktyzmu. Wykorzystywał zaskakujące połączenia języka potocznego i sakralnego, tworząc innowacje frazeologiczne, które otwierają tekst na wiele znaczeń i wymagają współdziałania czytelnika. Czasem pisał jak dziecko, ale nigdy infantylnie. Pisał „jakby ukradkiem”, może dlatego dzieci mu wierzyły a dorośli – chcieli znowu być dziećmi.

Był to raczej poeta spotkania, nie werdyktu. Wiersz u niego nie zamykał, ale otwierał. Jak sam pisał: „wszystkie słowa sprawiają, że się widzi tylko połowę”. Pozwalał więc tej drugiej połowie – niedopowiedzianej, przemilczanej, milczącej – działać. „Nie zacznę panu wlewać do ucha świętej teologii łyżeczką” – mawiał i dotrzymywał słowa. Zamiast łyżeczki dawał słuch – rzadki dar w świecie braku słuchaczy. Nie można też zapomnieć, że to temat miłości jest centralny, postrzegany przez niego jako najważniejszy. Miłość Boża jest miłością absolutną, najwyższą wartością i najwyższym dobrem, źródłem i wzorem miłości ludzkiej. W Chrystusie Bóg pokonuje nieskończoną odległość do człowieka. Nawiązując do Simone Weil, wskazywał, że cierpienie jest nieodłącznym elementem tej drogi. Miłość była dla niego nie tylko kategorią teologiczną, ale i praktyką codzienności. „Miłość oddala, bo za bardzo zbliża” – mówił i z tej ascezy bliskości uczynił nie tylko temat wierszy, ale i własną duchowość. Jego Bóg nie był Panem Niebios, co z tronu rozdaje łaski, ale raczej „Ojcem gatunków biologicznych”, który zna po imieniu kminek i karalucha, i który w każdej formie istnienia składa podpis swojej obecności.

Czy zatem możliwe jest połączenie prostoty z głębią, bez popadania w banał? Czy liryczna teologia może być pełnoprawnym sposobem mówienia o Bogu, nie tracąc przy tym siły przekonywania? Jak poezja może oswajać z absolutem, nie rozbijając sacrum? Czy jesteśmy dziś zdolni do ponownego odczytania idei x. Twardowskiego? Dziedzictwo tego poety w sutannie zdaje się i dziś stawiać nowe pytania. Odpowiedzi za to dobry przyczynek do rozmowy.

*Jan Czerniecki*

---

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego  
pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*



Ministerstwo Kultury  
i Dziedzictwa Narodowego

---